

Moralność i obyczaje*

Gustave Thibon

auto- rzy

* Esej ten jest częścią książki Gustave'a Thibona znanej pod francuskim tytułem *Diagnostics. Essai de physiologie sociale* przygotowywanej do druku przez Wydawnictwo Dębogóra w ramach Biblioteki Christianitas.

Trudno sobie wyobrazić proces bardziej niepokojący niż to wciąż powiększające się oddzielenie moralności od obyczajów, którego jesteśmy świadkami.

Doprecyzujmy najpierw znaczenie pojęć. Obyczajami nazywam wszystko, co w ludzkim zachowaniu wynika z nieświadomej konieczności, inaczej mówiąc, wszystko to, co człowiek robi instynktownie, ze względu na tradycję, spontaniczne dostosowanie się do środowiska społecznego itd. Moralnością zaś nazywam to, co odnosi się do działań wyraźnie świadomych. Nie jest konieczne świadome odnoszenie się do ideału, aby postępować zgodnie z obyczajami; jest to konieczne, aby mieć moralność. Możemy mówić o obyczajach w stosunku do zwierząt, ale o moralności mówimy tylko w przypadku człowieka.

Spójrzmy na dwa skrajne przypadki. Pierwszy to stary gospodarz, chciwy i przebiegły, zawsze gotowy wywieść w pole podobnych sobie, czy to w sprzedaży, czy w kupnie, ale przywiązany do rodzinnej ziemi i ojciec licznej rodziny, który dokłada wszelkich starań, aby ją utrzymać. Człowiek ten nie odwołuje się do moralności, ale postępuje zgodnie z dobrymi obyczajami. Drugi to podrzędny, pozbawiony sił życiowych mieszczanin, bardzo skrupulatny i godny we własnym postępowaniu, bardzo szlachetny w swoim przywiązaniu do ideału powszechnej sprawiedliwości, który ze słabości, z nieświadomionego i spontanicznego lęku przed życiem dobrowolnie powstrzymuje się od posiadania dzieci. Moralność tego człowieka może być wznioślejsza niż pierwszego, ale jego obyczaje są bardziej zepsute.

W każdym ludzkim uczynku jest aspekt materialny, fizyczny (używam tego słowa w szerokim znaczeniu ontologicznym) i aspekt moralny. Uczynek zły moralnie może być materialnie

dobry, inaczej mówiąc, może wynikać ze zdrowej inklinacji naturalnej, być skutkiem czysto naturalnej, spontanicznej reakcji itd. W ten sposób moralnie niegodziwe zaspokojenie popędu seksualnego albo spontaniczne użycie siły skutkujące śmiercią mogą mieć swe źródło w całkowicie zdrowym, w swoim naturalnym porządku, działaniu poszczególnych władz człowieka. Nieuporządkowanie polega tu jedynie na moralnej nieprawości i społecznej szkodliwości takich uczynków. Z drugiej strony akt moralnie czysty może być materialnie niedoskonały. Człowiek pozbawiony sił życiowych, o którym pisałem wcześniej, może z powodów moralnych zdecydować się na posiadanie dzieci. Takie postępowanie będzie bardzo szlachetne, być może nawet heroiczne. Zabraknie mu jednak zdrowych podstaw naturalnych, jego nikłe siły życiowe okażą się niewystarczające w potrzebie.

To rozróżnienie między moralnością a obyczajami pozwoli nam dobrze porównać obecny i dawny stan ludzkości. Gdy konserwatyści, piewcy przeszłości (*laudatores temporis acti*), rozwodzą się nad moralną dekadencją ludzi, zwolennicy „postępu” przypominają im wciąż ponure cienie przeszłości – długi orszak okrucieństw, grabieży i bezeceństw dokonywanych w minionych wiekach. Konkluzja tych drugich brzmi: lepiej już żyć w naszych czasach, bo ludzie są bardziej sprawiedliwi i łagodniejsi. Rozróżnijmy: gdy porównamy epoki takie jak średniowiecze i czasy obecne, dojdziemy do wniosku, że z punktu widzenia obyczajów ludzkość jest w pełnej dekadencji, zaś z punktu widzenia moralności (przynajmniej rozumianej jako powszechny ideał i usposobienie emocjonalne) – niewątpliwie dokonuje postępu.

Życie naszych przodków było mniej niż nasze wyznaczone moralnością, za to w większej mierze obyczajami; my mamy więcej moralności, ale mniej obyczajów. Nie trzeba zresztą cofać się aż do średniowiecza, aby dostrzec tę zależność. Generalnie rzecz biorąc, sto lat temu chłopci byli bardziej nieokrzesani, przebiegli, skąpi i swarliwi niż dziś; byli mniej otwarci na moralność i na miłość, która jest jej podstawą. Ich wnukowie mają serca wrażliwsze i szersze umysły; kłótnie, procesy sądowe i oszustwa zdarzają się na wsi rzadziej. Ale ci dawni chłopci, mimo ciasnoty duszy prawie zamykającej ich na moralność, dysponowali wielkim kapitałem tradycji religijnych i rodzinnych oraz instynk-

towną mądrością. Ich dzieci ten kapitał roztrwonili. Włóścianie z przeszłości – osobiście i przez dziedzictwo – niemal spajali się z ziemią, którą uprawiali, i odgrywali w ten sposób organiczną rolę w społeczności politycznej. Ich dzieci, oddzielone od ziemi rodzinnej, pragną tylko zostać anonimowymi i pasożytniczymi urzędnikami. Dawni chłopi niekiedy brutalnie obchodzili się ze swoimi dziećmi, ale je mieli; ich synowie obdarzają swoje dzieci większą czułością, bardziej się o nie troszczą, ale nie mają ich już prawie wcale. Gorzej jeszcze – widać tu wyraźnie ogromny rozdzwiek między wrażliwością moralną a głęboko zakorzenionymi obyczajami – to właśnie we Francji, gdzie większość ludzi stała się tak łagodna, tak ludzka, a zwłaszcza tak czuła dla swoich dzieci i tak niezdolna do patrzenia na ich cierpienie, dokonuje się co najmniej 500 000 aborcji rocznie, czyli zabija się 500 000 dzieci! Z jednej strony rozpuszcza się dzieci, z drugiej się je zabija: ta sama ręka masakruje niewinne istoty ludzkie i psuje je nadmiarem przyjemności. Trzeba, aby jedne zginęły po to, aby inne były bardziej dopieszczone i wprost wielbione: tym małym bożkom składa się ofiary z ludzi! Znałem pewną kobietę, która zabiła czworo dzieci w swym łonie (nie ze złości, ale ze słabości, z powodu braku głęboko zakorzenionych odruchów moralnych i uwewnętrzzonych norm społecznych), a jednocześnie uważała za potworne to, że ktoś może dać dziecku klapsa, aby je skłonić do poprawy... Z jednej strony dziecko zabite, z drugiej – zepsute. Te dwa bieguny dobrze ukazują wielkość przepaści między uczuciową wrażliwością moralną a głęboko zakorzenionymi obyczajami.

Współczesna moralność – z tego powodu, że nie jest wcielona w zdrowe obyczaje – pozostaje istotowo skażona niemocą. Jest ona skomponowana z abstrakcyjnego intelektualizmu i z płytkiej emocjonalności (czyż to nie Rousseau chciał zbudować podwaliny moralności uczuciowej?), nie wychodzi poza aktualne odczucie albo niedostępny ideał. Jest bardzo dalekowzrocza i krótkowzrocza zarazem: jednym okiem widzi utopijną gwiazdę, która nigdy nie zstąpi na ziemię, drugim zaś – tym, które kieruje konkretnymi działaniami – dostrzega tylko owoc, który jest w zasięgu ręki i można go zaraz zerwać. Niegdyś ludzie mieli głębokie instynkty biologiczne i zbiorowe, które sprawiały, że nieświadomie służyli dobru gatunku i dobru społeczności politycznej, spoglądali

daleko, nie zdając sobie z tego sprawy, a ich codzienny osobisty wysiłek, podległy wyższej celowości, do której dostosowywał się spontanicznie, przyczyniał się do harmonijnego budowania społeczeństwa i przyszłości. Wielkim dobrodziejstwem zdrowych obyczajów jest to, że czynią one łatwymi i naturalnymi rzeczy, które są bardzo trudne dla wysublimowanej moralności wyizolowanej jednostki. Albowiem upadek obyczajów wyizolował i zatimizował ludzi. Dziś wypadałoby, aby każdy człowiek swoją chwiejną wolą, swoją ulotną wrażliwością zastępował te głębokie odruchy, które mamy wspólne ze zwierzętami, i te, które są wynikiem socjalizacji. A to jest możliwe tylko dla nielicznych, wielkich duchem. Pozostali nieuchronnie oddają się wyłącznie kultowi własnego interesu oraz miłości do rzeczy zmysłowych i szybko osiągalnych. Zatimizowany człowiek ma wstręt do wszystkiego, co wymaga wysiłku, a przede wszystkim do tego, co jest oddalone. Ludzie nie mają dzieci: ewentualnego zabójstwa nie odczuwa się zmysłowo, ale wygodę, którą się sobie w ten sposób zapewnia, odczuwa się doskonale. Nie karzą też tych dzieci, które mają: dobro, które wyświadczyliby im w ten sposób, jest zbyt odległe i nieodczuwalne, ale ich łzy i pragnienie czułości są odczuwalne tu i teraz. Bardzo wielu młodych ludzi pochodzących ze wsi wiąże swoje kariery zawodowe z biurokracją. Czy wizja odległej katastrofy społecznej może być dla nich jakąkolwiek przeciwwagą dla bezpośrednio odczuwanego pragnienia bezpiecznego życia? Co bardziej: odruchy i instytucje czy też „moralna świadomość” jednostek skłaniało ich przodków do pozostania na swojej ziemi?

Ta „religia łatwości” będąca skutkiem wypalenia się obyczajów przyniosła także rezultaty pozytywne. Spowodowała rozwinięcie się cnót, które mimo że są karmione przez słabość, są od niej czymś różnym. Ludzie są zbyt wrażliwi, za bardzo potrzebują pomocy i szacunku od podobnych sobie¹, dlatego też spontanicznie odrzucają akty egoizmu i nienawiści, które wymagają zbyt wielkiego wysiłku. Na naszej wsi, na przykład, prawie zanikły procesy sądowe, niewielu dąży do pomszczenia swojej krzywdy po latach, a ludzie, którzy zazdroszczą sobie i oczerniają się wzajemnie bardziej niż kiedykolwiek, nie urządzają już publicznych awantur. Nawet w złości nie potrafią już ryzykować i brać na siebie odpowiedzialności.

¹ To nie jest paradoks: ludzie tym bardziej potrzebują podobnych sobie, im skuteczniej są od nich oddzieleni. Właśnie ten, kto ma w sobie największe pokłady „duszy zbiorowej”, ma największe predyspozycje do życia na obrzeżu ludzkiej społeczności i do podejmowania walki z ludźmi. Nasi przodkowie byli przez naturę lepiej niż my wyposażeni do pewnej zawziętości i uporu w ściśle rozumianym złu moralnym.

Ze ściśle moralnego punktu widzenia upadek obyczajów nie czyni ludzi ani gorszymi, ani lepszymi, przyczynia się jedynie do usunięcia odleglejszych i wymagających większego wysiłku przejawów zarówno egoizmu, jak i miłości.

* * *

To, co nazywam obyczajami (tymi obyczajami, których regres głoszę), jest ostatecznie moralnością raczej przeżywaną niż wykładaną, moralnością wtopioną w konieczność materialną. W porządku odczuwania i działania obyczaje to „dar” tak samo darmowy i naturalny jak zdrowie w porządku ciała. Obyczaje to także sposób zachowania zdrowia społecznego na przyszłość (jasne jest, że to dążenie do „zachowanie zdrowia” – obejmujące najbardziej podstawowe zachowania, których celowość zazwyczaj przekracza perspektywę ściśle osobistą, gdyż mają one zapewnić ciągłość rodzinną i społeczną – może na poziomie konkretnych ludzkich działań prowadzić do wielu czynów niemoralnych, tym można wytłumaczyć grzechy tak wielu ludzi biologicznie i społecznie zdrowych). To, co nazywam moralnością (tą moralnością, na której rozwój wskazuję), to bardziej moralność wykładana i odczuwana niż ogarniająca całe życie i realizowana w praktyce, bardziej skarbiec moralnego ideału i źródło moralnych przeżyć niż konkretnego działania (jasne jest, że taka moralność może u poszczególnych ludzi współistnieć z głęboką dekompozycją uczuciowości i postępowania). Postać Jeana-Jacques’a Rousseau jest wspaniałym przykładem tego pomieszania wywindowanego moralizmu i zepsutych obyczajów. Przy narodzinach każdego ze swoich dzieci przywołuje on w myśli i w sercu „prawa natury, sprawiedliwości i rozumu, a także religii czystej, świętej i wiecznej jak jej autor” itd. Jednak te hymny wysokiej moralności prowadzą go do porzucenia wszystkich tych dzieci. Normalny człowiek nie myśli o żadnej z tych wzniosłych kwestii, ale swoje dzieci o prostu wychowuje.

Połączenie w tym samym człowieku wzniosłego ideału moralnego i zdegenerowanych obyczajów stanowi wielkie niebezpieczeństwo społeczne. Brak zdrowia w głęboko zakorzenionych obyczajach i odruchach życiowych otacza ideał moralny aurą nierealności i wynaturzenia, a przez to jawi się on jako szkodliwy

dla natury człowieka. Grzechy idealizmu i angelizacji człowieka, będące podstawą wielkich wstrząsów kulturowych i politycznych czasów nowożytnych, w wielkiej części mają swe źródło właśnie w tym błędzie. Wysoka moralność w połączeniu ze zdrowymi obyczajami czyni świętych, zaś w połączeniu z upadającymi obyczajami kształtuje utopistów i rewolucjonistów. Rousseau i Robespierre byli ludźmi nieustannie rozgorączkowanymi emocjami moralnymi: głoszenie cnoty było w nich jakby krzykiem agonii, łabędzim śpiewem obyczajów! Cnota, której dobre obyczaje nie zrównoważą, nie uczynią bardziej ludzką, zawsze może paść ofiarą jakiegoś nieuchwytnego, a przez to niszczycielskiego ideału. Wcale nie najmniejszym pożytkiem ze zdrowych obyczajów jest to, że utrudniają one moralności zejście na manowce.

* * *

Inną pułapką (ściśle zresztą powiązaną z tymi, które już wskazaliśmy) moralności bez obyczajów jest doprowadzenie, w sposób konsekwentny albo jednoczesny, do nieczystego buntu wobec zła i równie nieczystej zgody na nie.

„Moralność bez obyczajów”, jak powiedzieliśmy, nie jest wcielona w życie. Dekadent jest często głodny cnoty, ale ten głód nie znajduje pożywienia w jego wnętrzu. Zaczyna więc szukać na zewnątrz... Ludzie tacy jak Rousseau mają ideał, ale ów ideał nie zstąpił nigdy niżej niż ich umysł, nie znajduje on pokarmu w ich własnym jestestwie, w ich najgłębszej naturze i nie może przyjąć konkretnej, ucieleśnionej postaci. Ale im na tym wcieleniu ideału nie zależy, to byłoby dla nich zbyt wiele. Ucieleśnienia tej cnoty, której sami są tylko głodni, domagają się od zewnętrznego świata. Nakazują światu wcielić swój ideał w życie – to społeczeństwo ma dostarczyć alibi ich niemocy; potrzebują bez przerwy widzieć wokół siebie to, czego nie są zdolni uczynić treścią swojego własnego życia. A gdy zewnętrzny świat nie wypełni powierzonej mu misji – jakież zgorzszone oburzenie, jakież historyczne okrzyki przeciw złu! Ludzie głęboko cnotliwi – ci, którzy realizują ideał w sobie – są znacznie mniej wrażliwi (mam na myśli tę wrażliwość pełną goryczy i irytacji) na kłamstwa i niesprawiedliwości świata. W swoich duszach i w Bogu, który je wypełnia, wyczuwają dość odwiecznej siły i prawdy, aby znosić zło przeżerające świat, choć

z sercem bolejącym, ale stałym zarazem. Z własnego doświadczenia i z żywej nauki wiary wiedzą, że do sprawiedliwości należeć będzie ostatnie słowo, a ta wiedza skutecznie przeważa nad wszelkimi zgorzseniami. Ci zaś, którzy z takim skurczem niecierpliwości wzywają swojego Boga, aby zatriumfował, okazują przez to, że nie są tego triumfu zbyt pewni. Są oni jeszcze bardziej niż inni niewolnikami świata i obecnych czasów i – aby nie zwątpić w swój ideał – chcą być świadkami sukcesu tu i teraz. Ich gorliwość jest tym bardziej gorzka i rozgorączkowana, im głębsza jest ich wewnętrzna pustka. I tak Rousseau, wyrodny ojciec, domaga się uznania zasług kobiet pielęgnujących swoje dzieci, a wychowawców przytłacza radami niemożliwymi do zrealizowania. Domaga się od innych rzeczy niemożliwych, choć sam nie chce nawet ruszyć małym palcem; to kształtuje przeciętnego człowieka! Ojcami najstraszliwszych utopii moralnych i społecznych są dekadenci, którzy – używając sformułowania Montaigne’a – łączą „nadniebne opinie z podziemnymi obyczajami”.

Ale ów ostry dualizm moralności i obyczajów, ów stan rozgorączkowania i napięcia właściwy dla cnót źle wcielonych nie może trwać zbyt długo. Rozbita jedność dąży do odtworzenia się przez pomieszanie. Gdy ideał okazuje się niemożliwy do wcielenia w życie, oto ciało staje się ideałem. Wyłania się nowy typ dekadencji: zepsuci ludzie, którzy ubóstwiają swoje własne zepsucie. Tworzy się nowa „moralność”, która teoretycznie uzasadnia głęboką amoralność chorych obyczajów: upadły Ikar zażywa odpoczynku w bagnie obiecany tym wszystkim, których kusiło niemożliwe. Upadek obyczajów najpierw prowadzi do sztywnego i wzniosłego moralizmu, w kolejnym stadium – do niemoralności podniesionej do rangi dogmatu, a w końcu, prędzej czy później, rodzi moralność na wskroś niegodziwą.

Zresztą ten dualizm i to pomieszanie zazwyczaj koegzystują ze sobą i w poszczególnych osobach, i w różnych doktrynach. Znakiem rozpoznawczym wszystkich doktryn moralnych typu manichejskiego jest zmieszanie puryzmu i libertynizmu. Taki Rousseau czy Gide w imię nadludzkiej czystości w wyrafinowany sposób wskazują i piętnują zło związane w sposób niemal konieczny z ludzką kondycją, a jednocześnie godzą się, a nawet gloryfikują najgorsze nieuporządkowania. Jednocześnie mierzą wyżej niż

człowiek i niżej niż zwierzę, ich moralność utkana jest z próżnego buntu przeciwko konieczności i miąłkiej abdykacji wobec nieuporządkowania. Ta moralność wyróżnia się równoczesnym upodobaniem do niemożliwości i do błota.

* * *

Aby żyć po ludzku, człowiek potrzebuje harmonijnego współgrania moralności i obyczajów. Z jednej strony obyczaje mają być dopełnione przez moralność, a z drugiej – moralność ma się w nie wcielać. Grzech moralny, najpierw wybierany w sposób wolny, przenika wcześniej czy później do obyczajów, które psuje. Od renesansu widzimy to zstępowanie grzechu, prowadzące do tego, że staje się on niemal koniecznością, tę powolną degradację zła moralnego w zło ucieleśnione. I odwrotnie – upadek obyczajów odbija się na moralności: cnota, która nie opiera się już na zdrowych odruchach i instytucjach, przestaje działać w sposób dla siebie naturalny, jak źle odżywiane komórki nerwowe wpada w drażliwą słabość...

Kryzys moralny, w którego ogłaszaniu wszyscy się prześcigają, jest przede wszystkim kryzysem obyczajów. Grzech rozlewa się coraz szerzej poza właściwe sobie miejsce (czyli poza sumienie i wolność osobistą), aby z jednej strony zadomowić się w dziedzinie życia zbiorowego (niezdrowe ustroje polityczne i klimaty społeczne), z drugiej – w sferze życia nieświadomego, życia kierowanego nawykiem, prawie organicznego (fałszywe reakcje, spaczone odruchy itd.). Strefa zła w ścisłym znaczeniu moralnym kurczy się wciąż coraz bardziej, tak że moralista nie wie już dobrze, gdzie kończy się jego zadanie, a gdzie winien wkroczyć mąż stanu albo lekarz.

Nie zaprzeczam, że takie spaczenie obyczajów staje się idealnym środowiskiem dla narodzin powołań heroiczych, wywołuje reakcję w postaci powstania ludzi, których czystość moralna wznosi się ponad przemiany obyczajów i tworzy nowe oazy zdrowia w całości osadzonego na dobrze ukształtowanym sumieniu i na miłości, w całości wyniesionego na szczyty ducha.

Wracając do kryzysu moralnego, pomyślmy na przykład, jakie uwarunkowania biologiczne, jaka atmosfera społeczna otaczają dzisiaj podstawowy obowiązek prokreacji, z jak dramatycznymi

przeszkodami muszą się mierzyć ludzie, którzy chcą ten obowiązek wypełnić. Ale taki stan rzeczy, w którym zamierza się – że tak powiem – uzależnić zdrowie od świętości, zawsze jest narażony na niebezpieczeństwa (wskazywaliśmy już na jakie). W każdym razie wymaga to takiej siły i wielkości duszy, które nie są na miarę przeciętnego człowieka. Każdy system społeczny, który wymaga cnót z istoty swej arystokratycznych od większości ludzi i w ich codziennym życiu, staje się przez to niezdrowy. Gdy chodzi o pseudodemokrację zrodzoną i wyrosłą w duchu rewolucji francuskiej, to łączy ona absurdalność z niegodziwością. Teoretycznie jest zbudowana na sprawiedliwości i miłości w odniesieniu do mas, ale w rzeczywistości prowadzi do praktycznego zmuszania do heroizmu, którego z trudem można by wymagać od jakiegś ewangelicznej małej trzódki (por. Łk 12, 32), ludzi należących do tych biednych mas, jeśli tylko chcą wypełniać swoje zwykłe skromne obowiązki. Gdy szukamy ukrytego powodu tej przerażającej zuchwałości, z jaką duchy rewolucyjne wywracają tradycje i obyczaje, które sprawdziły się przez wieki, znajdujemy go w tym „anielskim” złudzeniu, że moralność może i musi wystarczyć, aby zastąpić zdegradowane obyczaje. Jednak nie ma większej szkody dla życia społecznego od przymuszania mas do świętości...

Stając twarzą w twarz z niespotykanym dotąd w historii upadkiem obyczajów, moralista z większą niż kiedykolwiek ostrożnością powinien podchodzić do idealnych konstrukcji społecznych, uniwersalnych systemów i upojenia słowami i marzeniami. Moralnej nadpobudliwości hołdowano zbyt długo, obecnie potrzebujemy przede wszystkim moralności będącej lokomotywą – ogarniającej całego człowieka i poruszającej go do konkretnych działań. Po bezpłodnych rozwiążnościach, dotyczących sfer intelektualnych i uczuciowych, czas nauczyć ludzi brania w swoje ręce tak ideału obecnego w ich umysłach, jak i poruszeń oraz uczuć ich serc. Chodzi o pokorne i cierpliwe wcielanie w życie prawdy o człowieku, o nadanie jej konkretnego, realnego kształtu w życiu każdego i w życiu wszystkich. Najszlachetniejszy ideał ma sens tylko o tyle, o ile rodzi w człowieku choćby mały, ale konkretny, cielesny wysiłek; wysiłek, który boli. Same najbardziej podstawowe fundamenty ludzkiej natury zostały dziś wzruszone, trzeba więc odbudować całego człowieka. Aby to osiągnąć, nie wystarczy

ze szczytu chwiejącego się gmachu głosić kazania skierowane do wszystkich i do nikogo; trzeba zejść na sam dół i tam kamień po kamieniu naprawiać zagrożone fundamenty.

A zatem najpilniejszym zadaniem moralności jest dzisiaj odbudowa obyczajów. W żadnym razie nie wystarczy głoszenie duszom zdrowia moralnego, jeśli nie dostrzega się atmosfery, która sprawia, że chorują. Ona jest źródłem problemów biologicznych, ekonomicznych, politycznych, których nie mamy prawa zbywać milczeniem. Moralista nie może się już zamykać w swojej nauce... Czy oznacza to, że moralność stała się niepotrzebna, co chciałby nam wmówić fałszywy realizm? Przeciwnie, ma ona być tym czystsza, głębsza i subtelniejsza, im bardziej rozchwiane są jej obyczajowe podstawy. Dawniej moralista i apostoł mogli skorzystać z luksusu zajmowania się jedynie kwestiami ducha i wolności, nie musieli zaś przejmować się cielesnymi podstawami życia moralnego ani atmosferą społeczną, która choć niekiedy bardzo surowa, cały czas w istocie swej była zdrowa. Dziś najwznioślejsza moralność musi nauczyć się pochylać nad najbardziej przyziemnymi rzeczywistościami. Musi śledzić zło nawet wtedy, gdy już wcieliło się w obyczaje, gdyż właśnie tam ma narodzić się odrodzenie. Wszystkie terapie miejscowe – czy to kazania moralne, czy systemy polityczne, czy projekty ekonomiczne – brane każda z osobna, okazują się niewystarczające bardziej niż kiedykolwiek. Uzdrawienie ludzkości wymaga całościowej nauki moralnej i wszechogarniającej miłości do ludzi. ■

Tłum. Tomasz Glanz